

Pan Kwaśniewski (Piekarzewo)

– Transkrypcja wywiadu przeprowadzonego dla Biblioteki Raczyńskich w ramach cyklu: "Historia Mówiona". Rozmawia Janusz Zemer.

[materiał niezmontowany]

Janusz Zemer: Żeby wprowadzić, proszę powiedzieć z kim pan mieszkał i gdzie mieszkaliście jak wybuchła wojna.

Kwaśniewski: Zanim wybuchła wojna, mieszkaliśmy w Piekarzewie, we własnym domku aż do chwili wysiedlenia. Muszę nadmienić, że mama wdowa, rodzeństwa miałem pięcioro. Ja najmłodszy. I wczesną wiosną 44 roku o godzinie 2.30 rano, zapukało gestapo. No i oświadczył, że [niezrozumiała kwestia w języku niemieckim00:53] czyli otwieraj drzwi. Podał swoje inicjały i kazał otworzyć drzwi. Mama otworzyła i weszło gestapo w towarzystwie dwóch innych wojskowych. No i zaznaczyli, że do godziny 4:00 mamy być ubrani i nie wolno nam nic zabierać, żadnych pierzyn, odzieży, niczego.

- Tam wszystko będziecie mieć, jedziecie do Reichu.

Mama odpowiedziała, po niemiecku, bo kończyła niemiecką szkołę za cesarza Wilhelma. Oświadczyła tym z gestapo, że jak to można wdowę z takimi małymi dziećmi wysiedlać? Czyja to decyzja? Jeden z nich odpowiedział, że takie są procedury i on nie ma na nie wpływu. Ubierać się i koniec. No i zostawił nam jednego żołnierza, który był w porządku. Dobry człowiek był. I mówi..brat tam też już był, brat miał niespełna 14 lat, siostra miała 15, no i ja – w wieku 5 lat. Bo jeden brat już był w Niemczech, wysiedlony już w 40-tym roku, drugi też u Niemców, w zielonogórskim, a trzeci na wsi – także u Niemca, był do bydła, do pasienia krów. No i nikt o niczym nie wiedział. (02:45)

Były uszykowane podwozy, takie konne furmanki, no i przyjechali o godzinie 3.30 już, no bo trzeba się było szykować, nie? Furmanki załadowali, ale ten żołnierz z Wehrmachtu kazał te pierzyny zabrać. Załadowali z bratem garnki, pierzyny, wszystko razem, takie pobrudzone, nie? [śmieje się] No ale zabraliśmy to. No i pojechaliśmy na stację, do bydlęcych wagonów i do Poznania. Najpierw do Żabikowa. Tam mama się zgłosiła do komendanta obozu. Ze mną za rękę.(03:38) Pamiętam zasieki i ciągłe - Halt! Halt! wartownika, ale matka coś do niego powiedziała po niemiecku i nas przepuścił. Weszliśmy do komendanta, któremu matka pokazała legitymację ojca, który był w niemieckim wojsku, w Wehrmachcie. Walczył pod Verdun i tam był ciężko ranny. I mówi:

- To tak się robi z Polakami, którzy za Niemcy ginęli, albo byli ranni?

Pokazała mu to zdjęcie nawet jego w mundurze niemieckim. Ale komendant się postawił, że to nie jego sprawa, że żałuje że takie małe dzieci, ale on nic nie może. Decyzja zapadła i musi już być tak jak jest. Ale jednak się postarał, że w Żabikowie byliśmy tylko tydzień, to

był ciężki obóz. Potem nas wysłali do jakiegoś obozu, którego nie pamiętam, na Garbarach, czy gdzieś. I tam byliśmy prawie 3 tygodnie. (05:00)

JZ: A co pan pamięta z Żabikowa? Jak tam traktowali ludzi?

Kwaśniewski: Pamiętam tylko ten – Halt! Pamiętam jak tam krzyczał na mamę. No i te baraki. Tam było mnóstwo baraków, a w nich były jeszcze takie gaśnice, to mnie jeszcze jako dzieciaka interesowało co to jest tam takie czerwone, nie? Szczegółów już nie pamiętam...

JZ: A nie widział pan jak ludzi biją, czy jak pracowali, czy coś?

Kwaśniewski: [szuka w myślach] Nie ja nie widziałem, ale mama coś wspominała, że gdzieś tam słyszała jęki i widziała, jak gdzieś tam prowadzili tych ludzi. No ale ona też patrzyła, żeby swoją sprawę załatwić. Po tygodniu ja znowu zawołał komendant, i mówi, że w związku z tym, że tak się upomniała o swojego męża, to przydziela ją do obozu lżejszego. I podkreślił, że on to załatwił. W tym obozie byliśmy niecałe 3 tygodnie i potem transportem do Niemiec. Dość spokojnie jechaliśmy na te tereny niemieckie i wylądowaliśmy w Dessau. Stanęliśmy na bocznym torze i kazali nam wejść, schować się pod wagony. Bo jest alarm. Syreny zaczęły wyć, myśmy nie wiedzieli co to w ogóle znaczy nie? No i albo jakiś odłamek, albo bomba trafiła w nasz wagon. I poszedł ten wagon w drzazgi. Kompletnie w drzazgi. I o dziwo, że nikt z tego naszego wagonu nie zginął. A z sąsiedniego wagonu, który był prawie cały – zginęło troje ludzi. Nie znaliśmy ich, byli z innej miejscowości. (07:27)

Nalot trwał koło godzinę, wszyscy się w tym czasie rozproszyli i potem zaczęli nas zbierać, po polach, gdziekolwiek, bo wszyscy pouciekali. I jak nas pozbierali, to nas zlokalizowali w Dessau w takim jakimś baraku drewnianym i tam byliśmy pewnie tydzień, może dwa, nie pamiętam. Kilku było w szpitalu, ja też byłem przez 3 dni, bo miałem w nodze takie długie drzazgi. Stały we wszystkie strony takie szpikulce drewniane z tego wagonu, który się rozsypał. To był polowy szpital, bo te zwykłe to były dla wojska, nie? No i mama mnie zabrała i pojechaliśmy do miejsca przeznaczenia. To było koło Magdeburgu – Ledeburg [fonet09:05] się nazywało. No i w Ledeburgu była policja i pyta - Która to frau Kwaśniewska? No to zgłosiła się. Powiedzieli, że ma się jutro zgłosić do jakiegoś banku, czy kasy, po odbiór renty po mężu, bo tu miała też nie? Więc renta była prawie 2 tygodnie wcześniej od nas. Był kwit nadania. Ciekawe, nie? [śmieje się] (09:45)

No i potem pojechaliśmy do miejsca przeznaczenia. To był taki folwark. Były tam czworaki, ale my w tych czworakach nie mieszkaliśmy, tylko w baraku koło pałacu. Był drewniany, ale na podmurówce. I tam mieszkaliśmy aż do zakończenia wojny. Nie było tam aż tak źle. Wszyscy się tam do nas dobrze odnosili. I od nas się dowiedzieli, że zostaliśmy zmuszeni do opuszczenia domu. Propaganda Hitlera głosiła, że sami chcieliśmy do przyjazdu tutaj. Dopiero mama to zdementowała, jak im te oczy zamydlali. Z tego Ledeburga oswobodzili nas Amerykanie. Wspaniali ludzie.

JZ: A coście robili tam w czasie tej wojny? Mama pracowała gdzieś?

Kwaśniewski: Aaa, zapomniałem, nie powiedziałem. My jako dzieci dostawaliśmy na dzień pół litra mleka i jedną bułkę. Na cały dzień. A dorośli pracowali na polu, albo w jakiejś fabryce, mama pracowała w fabryce potasu, a później w tym majątku też. Brat i siostra również. A dla małych dzieci był taki dozór – starsza kobiecina, ale jak myśmy uciekali, to nie mogła z nami dać rady. I był taki „podwórzowy” – tak się nazywał [uśmiecha się] to on też trochę pilnował. Nieraz miał klucze na szyi uwiązane i nas troszkę tymi kluczami przeganiał, bośmy trochę broili. (12:00)

JZ: A jak ci Niemcy się odnosili do was?

Kwaśniewski: Mieszkańcy byli dla nas bardzo dobrzy. Wspaniali ludzie. Pomagali jak mogli. Oczywiście w miarę możliwości, bo się bali, dlatego, że tam też były rygory drastyczne. Ale nie byli tacy aż, jak ci Niemcy w Polsce. Byli w porządku, naprawdę.

JZ: Powiedzmy o tym wyzwoleniu, mówił pan, że ci Amerykanie to fajni ludzie. Jak to wyglądało?

Kwaśniewski: Amerykanie przyjechali do tego Folwarku, w którym żeśmy mieszkali.

- Polacy jesteście? - Był Polak ze Stanisławowa, umiał dokładnie po polsku.

- Polacy.

- No dobrze. - Wziął mapę, na mapie było naniesione, że tu jest polski obóz – Mamy wszystko o was. A mama mówi:

- A czemu żeście tak bombardowali, że my nie mogliśmy tu wytrzymać? W nocy musieliśmy uciekać.

- Inaczej byśmy wojny nie wygrali. No trudno. Były nieraz fałszywe takie, że podstawiali Polaków specjalnie, a były takie, że rzeczywiście nie było nic. Musieliśmy to robić.

No i tam się zaopiekowali. Cudowni ludzie. Wozili nas po całej okolicy, nad jeziora, gdziekolwiek. Jedzenia było... no opór. No i jednego dnia przyszli i mówią:

- My się wycofujemy stąd i na razie – na 2 tygodnie ten sektor przejmą Anglicy. Co macie do załatwienia, to sobie załatwiającie.

No i tu muszę się wyrazić trochę o Anglikach.. że Anglicy to.. za Niemcami więcej. Nie byli dobrzy dla Polaków. Nie interesowali się nami, Szkoci czasami przyszli, ale Anglicy.. [kręci głową]

JZ: Nie interesowali się?

Kwaśniewski: Nie, absolutnie. Jak było coś do załatwienia, to było bardzo ciężko z nimi. (14:16)

No ale jednego razu przyjechała polska dywizja pancerna tzw Generała Maczka, która walczyła pod Monte Cassino. Oni mieli ogromne prawa. Właśnie za wyzwolenie Monte Cassino. Mówili, że – Na jutro się wszyscy ubierajcie, bo pojedziecie samochodami wojskowymi, pod plandekami. Zabieramy was stąd, bo ten sektor będą zajmować Rosjanie. A my was zabieramy na stronę zachodnią. Ewentualnie, jeżeli ktoś nie chce, no to proszę bardzo, ale nie radzimy. No i zabrali nas do Hannoveru. Zmarzliśmy trochę pod tymi plandekami, to było 240 km. No ale tam jakoś.. herbatę dawali. Przystanki były. [zakłócenia techniczne – dźwiękowe na planie]

JZ: Gdzie was przewieźli?

Kwaśniewski: Do Hannoveru, to już była strona zachodnia. No i tam były uszykowane dla nas takie obozy. Nie było tam jakichś super warunków, ale było już skupisko Polaków. Taki był obóz 7, gdzie było może nie 1000, ale ponad 500 na pewno, Polaków z okolic. No i tam żeśmy byli zaopatrywani przez UNRĘ. Były tzw paczki zaopatrzeniowe, najpierw co tydzień, potem tylko co 2 tygodnie. (16:16)

No i międzyczasie, mama, która – jak mówiłem, umiała dobrze po niemiecku – była tłumaczem u lekarza. Kierownikiem przychodni był francuskim lekarz wojskowy, a pod jego komendą był lekarz niemiecki, jako niewolnik. Do kontaktów z lekarzem francuskim był jeszcze jeden tłumacz, a mama później stała się poliglotką i po francusku też mówiła. [uśmiecha się] Miała do tego zdolności, nikt z nas tego po niej nie odziedziczył. Później jakoś się posprzeczała z tym lekarzem wojskowym o Katyń, bo on mówił, że Niemcy odkryli groby masowe w Rosji. On może sprowadzić filmy. No i było tak. Były nam wyświetlane filmy – najpierw po niemiecku, mama tłumaczyła, a później już z polskim komentarzem. No i było tam, że 16 000 Polaków było wymordowanych przez NKWD, to pamiętam jak dziś. No i potem przyszło zawiadomienie, że można wyjeżdżać - szczególnie samotni - do Australii, do Kanady, do USA, no i tu do Londynu czy jeszcze gdzieś w Europie. Później także z rodzinami. Mama już prawie miała jechać, ale w końcu się nie zdecydowała, ze względu na własność w Piekarzewie. Jak to zostawić. Tym bardziej, że trzech braci jeszcze nie było z nami. Mieliśmy kontakt z najstarszym, był w Oldenburgu nad holenderską granicą, w Armii Wojska Polskiego, gen. Maczka, normalnie zaciągnięty. I że po wojsku ma zamiar przyjechać do Polski. No dobrze - wracamy do Polski. (18:43)

Przyjechaliśmy tu przez Legnicę, „ruskie miasto”. Tam nas Ruski oszabrowali, musieliśmy interweniować w NKWD. Nawet na naszych oczach jeden został zastrzelony przez NKWD za te kradzieże, bo oni nawoływali do porządku. No ale z nimi nie szło... Kradli jak tylko mogli. Szabrowali nas tam do cna. [śmieje się] No i mama ich tam jeszcze więcej nienawidziła. Nie mogła patrzeć na Rusków. Przyjechaliśmy tutaj, no jeszcze były zasoby stamtąd, czy tam posprzedawane radia nie radia, to wszystko, no ale w końcu nic nie zostało. Postarałem się o rentę po ojcu, musiało to iść przez Niemcy, potem tu znowuż, tak że tę rentę przyznali, ale to były groszowe sprawy. Zresztą Niemcy płacili, a tutaj ci zabrali, nie? Nasi, komuna. No i było tak, że chodząc tutaj do szkoły, zacząłem opowiadać o

Katyniu, o tych filmach, które widziałem w Niemczech. Chłopaki, jak to chłopaki – byli zainteresowani. Aż dotarło to do kierowniczkę szkoły, która zawołała mamę. I powiedziała jej, żeby syn nie opowiadał takich rzeczy, bo jak się dowie Urząd Bezpieczeństwa, to koniec z nami będzie. (20:26)

No i tak było, że po skończeniu szkoły tutaj, poszedłem najpierw do Technikum Drzewnego do Jarocina, nie było żadnych autobusów, tylko pociągi, musiałem wstawać o 4.00 rano, mama mówiła - Nie dasz rady. No i w końcu musiałem zrezygnować. I poszedłem do szkoły zawodowej do Pleszewa. W szkole zawodowej związałem się z paroma kolegami z organizacją MAK – czyli Młoda Armia Krajowa. Pozyskali mnie ze względu na te moje wiadomości o Katyniu. No i była wsypa, zostaliśmy aresztowani, siedziałem na ul. Młyńskiej w Poznaniu. Leczony tam byłem, bo mnie pobił jeden Ubek w Pleszewie.

JZ: A sprawę pan miał? W Sądzie.

SK: Nie zdążyłem mieć sprawy w sądzie, bo to było przed tymi zajściami poznańskimi. Też byłem niezwłocznie wołany do Poznania od razu, po tych poznańskich protestach. Pokazywali mi zdjęcia i pytali – Kto to jest?!

JZ: Policja tak?

SK: UB. Drugi raz jak byłem, to już była tak zdemolowana ta ulica Młyńska, [mówi śmiejąc się] i ten Urząd Bezpieczeństwa, że potem ubek mnie pytał – No i jak się wam szło? Tak żeście dokonali, bo przecież to wy, nie? Ja mówię – Ja tu nie byłem. Człowiek się po prostu bał. Nie daj Boże dostać się w te ich szpony, to...koniec. (22:22)

Aha, jeszcze pan pytał czy siedziałem. Siedziałem 7 dni, czy 8. W Poznaniu, na Młyńskiej. Byłem leczony w Szpitalu Wojskowym na Grunwaldzkiej. Najpierw był lekarz wołany do mnie – dr Grochowicz, laryngolog. Powiedział tam tej pani - to pewno była pielęgniarka, nie wiem, bo była ordynarna więcej jeszcze jak te ubeki - że musiał bym być hospitalizowany. Ale nie hospitalizowali mnie, zawieźli mnie na ogle dziny, no i później... O tutaj mam [przykłada palec do żuchwy] jeszcze to wszystkie [znika wizja, jest tylko głos22:57] pozostałości. Rękę mam krzywą. Kopał mnie.

JZ: Ale kto?

SK: No Ubek. W Pleszewie. Jak tylko coś..

JZ: Znaczą na śledztwie? Na przesłuchaniu? [obraz pojawia się ponownie23:10] Może pan powie coś o tej Młodej Armii Krajowej? Coście tam robili? Kto to założył?

SK: Organizację MAK założył syn dyrektora Pleszewskich Zakładów Papierniczych. Pluta się nazywał. Symforian Pluta. Ojciec nic nie wiedział. Na strychu zakładu mieliśmy zebrania. W zakładzie był zespół taneczny, też żeśmy tam należeli, żeby stworzyć okazję do tych zebrań. A nasze działania miały charakter sabotażowy. Przede wszystkim było

wyłączanie prądu i kolportaż ulotek. Właśnie o Katyniu, o wyborach, takie propagandowe. I oni nas szukali już od pół roku.

JZ: Jakie to były lata?

SK: 54-56'. Młode chłopaki żeśmy byli wtedy. Pluta był zainteresowany moimi opowieściami o filmach o Katyniu.

JZ: Ilu was było?

SK: Piętnastu. Dzieliliśmy się na dwie grupy – zaopatrzeniową i grupę specjalną.

JZ: Ale o co wam chodziło właściwie? **(24:48)**

SK: Przede wszystkim kobiety musiały pracować po nocach, w ramach czynów społecznych. Wszyscy bez przerwy musieliśmy pracować. Nawet w niedzielę – nie do kościoła, tylko na czyn społeczny, naganiali ciągle, żeby robić torebki dla dzieci rosyjskich. Papierowe. Lepsze niż tutaj były. Trzeba było przykładać równiutko pieczątki z rosyjskim napisem dla tych dzieci. No to żeśmy robili zwarcie prądu, jeden elektryk też był z nami. I tak zrobiliśmy 3 razy i się kapnęli, że coś jest nie tak. Trochę nasz błąd, że robiliśmy to w jednym systemie. **[śmieje się]** No i później te ulotki nas zdradziły. I koniecznie się starali, żeby pozyskać z Zakładu jakiegoś informatora. I znaleźli. Z naszej grupy właśnie. Zakablował nas wszystkich.

JZ: A kto robił te ulotki?

SK: Ulotki to żeśmy my robili, na trzeciej zmianie. Bo drukarnia była, był **[niezrozumiałe26:27]** prąd był wyłączany, ale kręciliśmy kołem. Zrobiliśmy taką sztuczną korbę i ta korbą kręciliśmy i robiliśmy prąd. Oczywiście wszystko było pod nadzorem, pilnowaliśmy, bo do zecerni nie wolno było wchodzić. Wchodziliśmy przez taki właz w zsywie do makulatury. No i tak drukowaliśmy. **(27:02)**

Oni się w końcu kapnęli, że to jest gdzieś tutaj robione. Ale mieliśmy te matryce i później zrobiliśmy sobie taki wałek, każdy swój, farba i robiliśmy w domach wersję ekspresową. Taki domowy sposób, nie tak jak powinno być, ale też było. No i to roznosiliśmy. I żeśmy te ulotki rozsypywali, a oni tego szukali. No i później właśnie był któryś taki kolega, z mojej wioski.... **[wzdycha ciężko]** no nie wiem, który to wydał, ale..musiał powiedzieć innym, że tę wiadomość o Katyniu, to właśnie ja przywiozłem z Niemiec. No i ten co mnie przesłuchiwał w Pleszewie, to od razu zaznaczył, że mówimy szczerze. - I jeżeli nie będziesz szczerzy, to tam jest ten „pokój przyjęć” mamy, przyjmujemy cię elegancko. - Tak mi tłumaczył. I mówi – Będziesz żałował tego. I wrócę jeszcze do tego pana z Czarnkowa, a on był też w jakiejś organizacji w Poznaniu. Uczył nas broni i mówił, że w razie jakiejś wpadki, albo czegoś – Pamiętajcie, trzymajcie się jednego słowa, bo jak będziecie kręcić – koniec! On już siedział 3 razy, za czasów UB.

JZ: Uczył was ktoś posługiwać się bronią?

SK: No właśnie ten pan z Czarnkowa, uczył nas, mieliśmy własną broń. Nie pamiętam jego nazwiska. Mam gdzieś zanotowane. Przyjeżdżał do nas z Czarnkowa ze trzy razy.

JZ: A czy był pan w IPN? Są jakieś akta związane z pana sprawą? (29:21)

SK: [sięga do kieszeni i wyciąga jakieś papiery] Zabrałem. [podaje papiery] Tu jest zwolnienie z amnestii. A tu jest z IPN potwierdzenie.

JZ: [zwraca się do operatora] To zrobimy tylko ikonografię. [znika obraz, słycać jakieś dźwięki na planie, po chwili znów się pojawia] 29:52

JZ: Niech pan tylko w dwóch zdaniach powie jak UB postąpiło z pana kolegami z organizacji.

SK: Po pierwsze do tego czasu, to żaden nie żyje. Poumierali wszyscy. Trójka szefów w bardzo krótkim czasie zmarli – płuca, serce, wątroba. No bo podczas przesłuchań bili ich i kopali. W tym się specjalizowali ubeki z Urzędu Bezpieczeństwa.

JZ: To ilu zmarło?

SK: No piętnastu było, jeden był na ten.. to, dwunastu.

JZ: Dobra, jeszcze niech pan pokaże to zdjęcie i powie kto jest na tym zdjęciu.

SK: [pokazuje pierwsze zdjęcie] To ojciec mój, w niemieckim wojsku, za czasów Wilhelma, pod zaborem pruskim.

SK: [ponownie ujęcie trzymającego w dłoni zdjęcie ojca] Na tym zdjęciu jest mój ojciec w niemieckim wojsku, [dalej powtarza za podpowiadającym Januszem Zemerem] w czasie zaborów i pierwszej wojny światowej. 1916 albo 1917 rok.

JZ: Dobra, dziękujemy. (31:46)

Koniec nagrania – długość – 32 min